

W KRĘGU KSIĘDZA PIOTRA WAWRZYNIAKA

Nieco refleksji

Piotr Wawrzyniak, osobom zainteresowanym przeszłością Wielkopolski ubiegłego wieku, zawsze kojarzy się ze Śremem, z kolei Śrem - to przede wszystkim Piotr Wawrzyniak i Heliodor Świąciecki. Były to dwie szczególnie zasłużone postacie w dziejach Wielkopolski czasu zaborów, działające w różnych specjalnościach i w odmiennym zakresie, lecz jednakowo zasłużone; profesorowi Świącieckiemu dane było nie tylko dożyć Polski niepodległej, lecz także rektorować nowo założonej Wszechnicy Piastowskiej - późniejszemu Uniwersytetowi Poznańskiemu. Piotr Wawrzyniak zaś położył podwaliny pod finansowy monolit polskich organizacji gospodarczych zaboru pruskiego.

Zaczynał w Śremie. Urodził się niedaleko, w Wyrzece, 30 stycznia 1849 roku, w rodzinie dobrze sytuowanego rolnika Franciszka Wawrzyniaka i Cecylii z Łapińskich. Od chwili urodzenia przewidziany był do stanu kapłańskiego, nie miał też w życiu wątpliwości czy wahaniach. Osiągnięcie tego celu wiodło przez wykształcenie, więc młody chłopiec rozpoczął naukę w gimnazjum śremskim. Wtedy też przeżył patriotyczną przygodę. Wychowany w kulcie tradycji wydarzeń wielkopolskiej Wiosny Ludów, w 1863 roku postanowił dotrzeć do oddziału powstańczego. Zrażony niepowodzeniem eskapady, szybko się jednak przekonał, że jego przeznaczeniem jest nie praca na roli, lecz szkolna ława, a potem sutanna - zatem dalsze drogi życiowe miał już uporządkowane.

W 1867 roku Piotr Wawrzyniak uzyskał świadectwo dojrzałości i wstąpił do seminarium duchownego w Poznaniu; w 1871 roku przejściowo studiował teologię w Monasterze¹ (Munster), a w sierpniu następnego roku w Dalewie odprawił mszę prymicyjną. Wreszcie w 1872 roku wrócił do Śremu; następne 26 lat związał ze stronami rodzinnymi.

Początkowo był tylko wikariuszem i mansonarzem, czyli do jego obowiązków należało tylko odprawianie mszy i modłów kapłańskich. Cały jednak czas pozostający mu do

dyspozycji przeznaczył na działalność społeczną. Jeszcze w gimnazjum przewodniczył zakonspirowanemu kółku samokształceniowemu "marianów", teraz zajął się podniesieniem poziomu wiedzy śremskich rzemieślników i rolników. Wiedza uzyskana w gimnazjum i seminarium duchownym, w połączeniu z samorodnym talentem organizacyjnym i matematycznym, w krótkim czasie pozwoliły mu niemal zmonopolizować szerzej zakrojoną działalność w Śremie, stanął na czele niemal wszystkich istniejących tu organizacji społecznych i gospodarczych.

Dalsze koleje działalności księdza Piotra Wawrzyniaka doskonale są znane z licznych publikacji. Wiadomo, że jako patron Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych (od 1891), wspólnie ze stosunkowo niewielkim gronem najbliższych współpracowników, utworzył w zaborze pruskim potężny system finansowy, który dał oparcie dla inicjatyw ekonomicznych środowisk polskich; jego "imperium" stanowiło jeden z głównych filarów tego systemu. Po przeniesieniu w 1898 roku

na probostwo do Mogilna, nie przerwał swej działalności, lecz jedynie zmodyfikował ją - w najmniejszym stopniu nie zwalniając normalnego rytmu działalności duszpasterskiej. Rzeczywiście był, jak wtedy mawiano, "królem czynu", prawdziwym tytanem pracy.

Jedną z podstawowych cech sukcesu księdza Wawrzyniaka był daleko idący, bezwzględnie przezeń przestrzegany legalizm poczynań, dostosowany do mentalności urzędników pruskich i ducha całego państwa Hohenzollernów. Nawet inicjatywy propagandowe, patriotyczne (jak wystawienie pomnika poległych powstańców z 1848 roku na cmentarzu śremskim), miały oparcie w konkretnych przepisach, dokumentach, paragrafach. W rezultacie urzędnicy pruscy mieli do czynienia ze swoistym "syndromem Wawrzyniaka", który realizował narodowe dążenia Polaków, w najmniejszym stopniu nie dając podstaw do wykazania niekompetencji czy oskarżenia o działalność niezgodną z prawem. Było to wtedy coś nowego, jako że przyzwyczajono



no się już do postrzegania Polaków jako naród skłonny do brawury, nerwowych reakcji i gwałtownych poczynań, lecz nie środowisko zdolne do długotrwałej systematycznej i przemyślanej - a przy tym skutecznej działalności organizacyjnej. Dlatego też charakterystyczną cechą Wawrzyniaka - przy całej jego wielkoduszości dla pokonanego przeciwnika - była bezwzględność oceny pracy osób, które mu podlegały. Był świadomy, że najmniejsza nieprawidłowość, niekompetencja, nie mówiąc już o próbie malwersacji - natychmiast byłyby wykorzystane przez administrację pruską dla podkopania całego systemu polskiego. Jak mawiał, u niego wszystko musiało być "w porządku".

Nie wszystko jednak Wawrzyniakowi się udało. Trudno zaliczyć do sukcesów lata 1894 - 1898, gdy przekonał się, że nie za bardzo nadaje się do pracy parlamentarnej, zaś Polonia berlińska inaczej rozumuje niż jej rodacy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Nie znalazł zrozumienia dla swych organizacyjnych i nieco dyktatorskich poczynań także wśród Polonii amerykańskiej, dokąd dotarł w roku 1896. W takich sprawach i razach był jednak zbyt mało elastyczny - najlepiej sprawdzał się na znanym terenie, u siebie, w Poznańskim.

Spójrzmy więc na zasłużonego księdza także jako na człowieka. Fascynująca była powierzchowność Wawrzyniaka: bardzo wysoki, potężnej tuszy, swoją zwalistą, majestaticznie poruszającą się postacią budził respekt otoczenia; kiedyś w Dreźnie nawet zamówiono specjalne łóżko, gdyż w zwykłym byłoby mu za ciasno. Tendencję do tycia miał zresztą już jako młody kleryk seminarium duchownego. Jednak w miarę upływu czasu i narastania przeżyć, sympatyczna, trochę jowialna twarz Wawrzyniaka nabierała "twardości" i raczej trudno powiedzieć, by zachęcała do nawiązywania znajomości. On sam zresztą raczej niechętnie podejmował kontakt z osobami, których nie znał wcześniej. Z natury małomówny, posługiwał się dość prostym zasobem słów, co wprawdzie czyniło go komunikatywnym w kontaktach z parafianami czy interesantami w sprawach gospodarczych, ale partnerem do filozoficznej dyskusji zany ksiądz raczej nie był. Nie lubił pisać (sam zresztą mawiał, że jest do działania, a nie pisanie czy gadania), a jego listy - o ile przez niego były redagowane - to raczej rzeczowe, krótkie dyspozycje i zbiór konkretnych wiadomości, aniżeli wymiana myśli. W sumie w otoczeniu budził respekt i szacunek, ale trudno powiedzieć, by go lubiano czy cieszył się popularnością. Poza tym raczej był konserwatywny w ubiorze, codziennym życiu, niechętnie przyjmował wszelkie nowinki techniczne (poza pociągiem, którym podróżował regularnie), czytał chyba niewiele, ale chętnie uczęszczał do teatru i opery; operetka go nie pociągała, do kina się nie przekonał. Wręcz morderczy tryb życia, który prowadził, z czasem spowodował cukrzycę i schorzenie serca - co i w końcu doprowadziło do przedwczesnej śmierci

Wawrzyniaka w Poznaniu, 9 listopada 1910 roku. Nic dziwnego, skoro zany ksiądz potrafił w ciągu jednego tygodnia przemieszczać się z jednego końca zaboru pruskiego w drugi, wykonywać swe normalne obowiązki duchownego, kierować kilkoma instytucjami równocześnie, a przy tym jeść i spać nieregularnie, jakby na zapas. Wykonywał sam pracę, która dziś jest udziałem całego zespołu ludzi.

A jednak ten z natury surowy i pozornie oschły, rzeczowy duchowny, potrafił wykazać się (dość swoistym zresztą) poczuciem humoru. Lubił dzieci, kochał przyrodę, nawet próbował pisać wiersze, ładnie też śpiewał. Ciekawe, że ten człowiek o fenomenalnej pamięci do najbardziej nawet skomplikowanych obliczeń finansowych (notatek nie robił sobie prawie wcale), miał trudności z zapamiętaniem twarzy spotkanych osób.

Piotr Wawrzyniak był nie istniejącym dziś typem człowieka - instytucji. Inna w tamtych czasach była organizacja dnia pracy, zakres obowiązków, możliwości fizyczne pojedynczego człowieka. W rezultacie były masy ludzi biernie przyjmujących nowinki i propozycje działania - i stonkowo niewielka lecz aktywna ponad siły grupa działaczy. Ludzie ci musieli wykonywać pracę tytaniczną, kosztem własnego zdrowia, czasu, życia osobistego. Na stałe przeszli na karty podręczników historii, ale... żyli stosunkowo krótko. Analiza życiorysów choćby Karola Marcinkowskiego, Hipolita Cegielskiego, Piotra Wawrzyniaka, wyraźnie wskazuje na poświęcenie tych ludzi dla kraju, dla otoczenia - ale też i dla własnej rodziny. Żaden z nich nie czynił z siebie cierpiętnika, męczennika sprawy narodowej. Gdy zachodziła potrzeba - to się walczyło, jednak podstawowym kierunkiem działania tych ludzi była konkretna praca.

Naturalną kolejną rzeczą jest pytanie, czy dziś tacy ludzie są nam potrzebni? I tak, i nie. Inne wtedy były realia epoki, inni ludzie i mechaniczne przenoszenie ich jako ideałów i wzorców na dzisiaj, byłoby anachronizmem. Jednak szczególnie potrzeba nam ludzi tak samo jak oni bezinteresownych w działaniu, umięjących stawiać interes kraju ponad swoje sprawy prywatne czy program partii. Najbardziej nam dziś potrzeba ludzi umięjących myśleć kryteriami państwa, społeczeństwa, narodu, rozumujących tak jak wielkopolscy organiczniacy, warszawscy pozytywści, działacze tacy jak Józef Wybicki, Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski. Wciąż jeszcze błysk szabli jest dla nas bardziej atrakcyjny niż podobny błysk - lecz pług, szcęk cierpiętniczych kajdan wydaje się miłszy od szelestu kartek książki. A przecież potrzebne jest i jedno, i drugie, każda pora ma swój czas. Czas walki już minął, nadeszła pora budowania, tego zaś, po doświadczeniach ostatnich dwustu lat jak się wydaje, Polacy dopiero muszą się uczyć.

Marek REZLER